

*Autor
bestsellerów*
**THE
KILLING**

DAVID HEWSON
**WILLA
MISTERIÓW**

MARGINESY



DAVID HEWSON

**WILLA
MISTERIÓW**

Przełożył
DARIUSZ ŻUKOWSKI

MARGINESY

LUPERCALIA

The Villa of Mysteries

COPYRIGHT © David Hewson 2003

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording or otherwise) without the prior written permission of the publisher. Any person who does any unauthorized act in relation to this publication may be liable to criminal prosecution and civil claims for damages.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dariusz Żukowski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2017

Bobby i Lianne Dexterowie byli porządnymi ludźmi. Mieli nowy drewniany dom pięćdziesiąt kilometrów od Seattle, stojący na dziesięcioarowej działce, która wciniała się klinem w spory sosnowy zagajnik. Pracowali do późna w pobliskim biurze Microsoftu, Bobby w dziale marketingu, Lianne w księgowości. Co weekend szli w góry, a raz do roku wspinali się na szczyt Mount Rainier. Trenowali też trochę, chociaż Bobby'emu wciąż nie udawało się zwalczyć, jak to nazywał, brzuszka tatuśka, który przelewał się nad paskiem jego dżinsów. A miał dopiero trzydzieści trzy lata.

Dexterowie byli spokojnymi, wygodnie żyjącymi Amerykanami z klasy średniej. Jednak każdej wiosny na dwa tygodnie w roku zupełnie się zmieniali. Wyjeżdżali na zagraniczne wakacje. Wszystko jest kwestią proporcji, twierdzili. Ciężka praca przez pięćdziesiąt tygodni w roku, przez pozostałe dwa – ostra balanga. Najlepiej tam, gdzie miejscowi człowieka nie znają i gdzie obowiązują inne zasady albo nie ma ich wcale. Dlatego właśnie w ten chłodny piątek, zalani w trupa czerwonym winem i grappą, siedzieli w wynajętym renault clio piętnaście kilometrów od Rzymu. Bobby jechał stanowczo za szybko wyboistą nieoznakowaną dróżką prowadzącą z lotniska Fiumicino ku szarej, płaskiej linii meandrującego Tybru.

Lianne spoglądała na męża, starając się nie okazywać zaniepokojenia. Bobby wciąż jeszcze był wściekły. Cały ranek zmitrężył z wykrywaczem metalu, polując na skarby na obrzeżach odkopanych ruin Ostia Antica, miasta portowego z czasów cesarstwa rzymskiego. Właśnie w chwili, gdy z urządzenia dobiegło kilka piknięć, dwaj niemiło wyglądający archeolodzy wyszli z terenu wykopalisk i zaczęli na nich pokrzykiwać. Żadne z nich nie znało włoskiego, ale zrozumieli przesła-

nie: albo spakują swój wykrywacz i odjadą *per favore*, albo coroczne wakacje Dexterów zakończą się bijatyką z dwoma przypadkowymi studentami w stylu italo, których nie trzeba specjalnie zachęcać, gdy pojawia się okazja, by dać komuś w pysk.

Bobby i Lianne podkulili ogony i wycofali się do pobliskiej przydrożnej osterii, gdzie kelner, nieogolony prostak w ufajdanym swetrze, pouczył ich, że słowa „makaron” nie należy wymawiać z amerykańska.

Bobby słuchał, a jego obwisłe policzki czerwieniały z gniewu. „No, to podaj, kurwa, stek”, uciął, po czym zażądał jeszcze litr rosso della casa. Lianne nie skomentowała. Wiedziała, że kiedy Bobby jest w takim nastroju, lepiej go nie zaczepiać. Jeśliby za dużo wypili, zawsze będą mogli zostawić samochód przy lotnisku i pojechać taksówką do miasta. Zresztą Włosi i tak nie mieli nic przeciwko prowadzeniu po pijaku. Sami ciągle jeździli pod wpływem, a przynajmniej tak się jej zdało. We Włoszech panował pełny luz. Ona i Bobby po prostu zachowywali się jak miejscowi.

– Co jest nie tak z tymi ludźmi? – zrzędził Bobby, podczas gdy clio toczyło się po skorupie z błota, które zastygło w równą, twardą powierzchnię po niedawnych zimowych deszczach. – Przecież tego cholerstwa jest dość dla każdego.

Lianne wiedziała, gdzie tkwi problem. Zeszłej jesieni Jorgensenowie przywieźli z wakacji w Grecji niesamowite popiersie wielkości piłki. Przedstawiało młodego mężczyznę, może Aleksandra Wielkiego, z gęstymi włosami i ładną, nieco kobiecą twarzą. Dla lepszego efektu na początku nic nikomu nie powiedzieli. Pewnego dnia Tom Jorgensen niespodziewanie zaprosił Dexterów na drinka do swojego wielkiego drewnianego domu w stylu skandynawskim (dwa piętra i dobre piętnaście arów ziemi) stojącego kawałek dalej przy tej samej ulicy. Tak naprawdę chodziło właśnie o to, żeby pokazać im marmurowe popiersie. Jorgensen „wytrzasnął je”, jak to ujął,

kręcąc się wokół wykopalisk pod Spartą. Odczekał, aż kopacze pójdą do domu, po czym dał w łapę stróżowi, który pokazał mu miejsce, gdzie znajdowało się prawdziwe składowisko rzeźb. Tom długo opowiadał, jak to w luku bagażowym przemycił popiersie do kraju. Lianne podejrzewała, że wszystko to sobie wymyślił, a w rzeczywistości kupił rzeźbę w sklepie jak każdy. Ten wielki, umięśniony skurczybyk zawsze opowiadał niestworzone historie na taki czy inny temat. To właśnie dlatego udało mu się wskoczyć po plecach Bobby'ego w cały ten interes z muzyką pop i telewizją, którym zajmował się obecnie Microsoft, właśnie dlatego spotykał się z aktorami i gwiazdami rocka, podczas gdy Bobby, na pewno równie bystry jak on, jeśli nie bystrzejszy, ciągle musiał znosić dziwactwa komputerowych nudziarzy doznających orgazmu na myśl o bazach danych.

Mały pokaz Toma poruszył czułą strunę. Dwa tygodnie później Bobby oznajmił, że tegoroczne wiosenne wakacje spędzą z Lianne we Włoszech. Nawet nie spytał jej o zdanie. Lianne po cichu liczyła, że pojedą na Arubę, ale nie protestowała. Lepiej było nic nie mówić, a zresztą okazało się, że Rzym to całkiem niezły wybór. Naprawdę zaczynała lubić to miasto. I nagle tego ranka wszystko się posypało. Jakiś złowieszczy brytyjski profesorek zrobił im przy śniadaniu w bufecie wykład z historii. Opowiadał, jak to było w czasach starożytnych Rzymian, którzy składali w ofierze kozły i psy, a ich krew wcierali w czoła swoich dzieci, żeby zapamiętywały przodków. Po tej historii w głowie Bobby'ego zapaliła się lampka i kwadrans później szukali firmy, żeby wypożyczyć wykrywacz metalu.

A teraz tkwili pośrodku niczego, schlani w trupa i bez żadnego pomysłu, co robić dalej. Lianne usychała z tęsknoty za Arubą, a uczucie to było tym gorsze, że nie miała pojęcia, jak tam jest. Uważając, żeby Bobby się nie zorientował, położyła rękę na kierownicy i skręciła rozkołysanym clio tuż przed gła-

zem leżącym na poboczu. Dróżka robiła się coraz węższa. Po niedawnym deszczu w błotnistej ziemi tu i ówdzie powstały dziury. A jeśli auto nawali i będą musieli wracać na piechotę po pomoc? Nie podobała jej się ta perspektywa. Nie wzięła odpowiednich butów.

– To zwykła chciwość, Bobby – powiedziała. – Nic innego.

– Co im zależy? Jak człowiek nic nie znajdzie, cholera i tak zostanie w ziemi! Jakoś nie widzę, żeby co metr stał Włoch i wyciągał to gówno z błota.

Tu się mylił. Sama widziała mnóstwo wykopalisk. Wiele wyglądało na opuszczone, może dlatego że brakowało rąk do pracy, żeby obsłużyć wszystkie miejsca. Mimo to lepiej było zgodzić się z mężem.

– Wcale tego nie potrzebują, Bobby. Już i tak mają więcej, niż mogą przerobić. Uszami im wylazi.

To fakt, Włosi mieli tego dużo. Wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie od wszystkich muzeów, które zwiedzili przez ostatnie dwa dni. Takie mnóstwo! W przeciwieństwie do Bobby'ego czytała teksty w przewodnikach i zdawała sobie sprawę, że tylko prześlizgnęły się po powierzchni. Spędzili w Rzymie cały tydzień, ale wiedziała, że wyjadą, nie zobaczywszy wszystkiego. Miasto było wielkie i źle zorganizowane, pełne tandetnej architektury. Bobby miał rację: gdyby Włosi byli koleżeńscy, toby się podzielili.

Wóz wjechał w rozpadlinę, wyskoczył z niej, na moment zawisł w powietrzu i z hukiem uderzył w ziemię. Coś chyba urwało się w podwoziu, pomyślała Lianne. Przesunęła wzrokiem po roztaczającym się przed nimi krajobrazie. Na pierwszym planie widziała trawy, jakie rosną raczej w okolicach bagien niż przy plaży, w oddali zaś ciągnęła się szara wstęga spienionej rzeki. Dróżka kończyła się przy niskim brzegu. Żeby pobawić się swoim wykrywaczem, Bobby musiał się tutaj zatrzymać. Potem trzeba będzie odstawić samochód z powrotem do firmy Avis i czmychnąć do miasta,

zanim ktoś zauważy wgniecenia karoserii czy jeszcze gorsze rzeczy.

– Nic się nie martw – powiedziała. – Na pewno coś tu znajdziesz, Bobby. Czuję to. Wykopiesz coś takiego, że ten dupek Jorgensen pozielenieje z zazdrości, a ty...

Jej mąż nagle wcisnął hamulec i samochód zatrzymał się gwałtownie dwadzieścia metrów przed końcem drogi. Patrzył teraz na nią z zimnym, zawziętym wyrazem twarzy, który widywała tylko raz czy dwa razy w roku. Nie znosiła tego spojrzenia, nienawidziła go do tego stopnia, że czasem zaczynała się zastanawiać, czy małżeństwo z Bobbym Dexterem, pulchnym Bobkiem, za którego plecami dziewczyny w szkole chichotały, było faktycznie dobrym posunięciem.

– Co takiego? – spytał martwym, płaskim tonem, który w zamierzeniu miał być znaczący.

– Ja tylko... tylko... tylko... – zaczęła się jąkać i zamilkła.

Dźgnął ją w pierś pulchnym palcem. Poczowała zapach wódki w jego oddechu.

– Naprawdę sądzisz, że tu chodzi o pieprzonego Toma Jorgensena?

– Nie!

– Sądzisz, że wyszukałem, zabukowałem i opłaciłem te całe kurewskie wakacje, że zabrałem cię w te wszystkie śliczne miejsca, że cię wyciągnąłem tu, w to cuchnące zadupie... tylko z powodu pieprzonego Toma Jorgensena i jego gówno warte kawałka kamienia?

Nie odpowiedziała od razu. W ciągu trzech lat małżeństwa Bobby doprowadził ją do łez tylko raz, w Cancún. Poszło o pewne seksualne zachcianki, które wydały jej się bezsensowne, niepotrzebne i bardzo niehigieniczne. Tamto wspomnienie wciąż bolało. Nie rozumiała, czemu nie chce odejść w niepamięć.

– Nie sądzę. Zdawało mi się... Sama nie wiem... – W jej głowie kotłowały się tylko niewłaściwe zdania.

– Jezu! – ryknął Bobby. – Jezu Chryste!

Wcisnął pedał gazu, wprowadził silnik na wysokie obroty i puścił sprzęgło. Mały samochód skoczył odważnie naprzód, od czego serce podeszło Lianne do gardła, przechylił się i nadział na garb wyschniętego błota, w środku którego krył się palik ogrodzeniowy. Samochód zamarł na szczycie muldy pod dziwnym, przyprawiającym o mdłości kątem. Uniesione koła obracały się, motor wył bezsilnie. Cała przednia część clio wisiała w powietrzu.

Bobby popatrzył oskarżycielsko na Lianne.

– Cudownie, kurwa – mruknął. – Po prostu, kurwa, cudownie.

Płakała, próbując powstrzymać szloch.

– Nie rób mi tego, Lianne. Nie dzisiaj. Nie jesteśmy już w Cancún. Stąd nie dodzwonisz się do tego bydlaka, którego nazywasz swoim ojcem, żeby przyjechał i zagroził mi biciem, bo akurat bolała cię głowa czy coś w tym rodzaju.

Wiedziała, że skarżenie się ojcu to był błąd, ale Bobby sam się o to prosił. W Cancún przeciągnął strunę. Chciała, żeby to do niego dotarło.

– Bobby... – powiedziała przez łzy.

Patrzył przez okno na szarą rzekę i pianę płynącą leniwie po powierzchni wody.

– Co?

– Czuję benzynę – powiedziała, nagle poważniejąc. Jej łzy wyschły w jednej chwili i ustąpiły miejsca narastającemu strachowi. – Ty nie czujesz?

– Jezu! – sapnął. Jednym ruchem odpiął pas bezpieczeństwa, którym była przypięta, i otworzył drzwi od jej strony. Uśmiechnęła się do niego przez łzy. Odpiął jej pas, zanim pomyślał o swoim.

– Bobby...

– Wyskakuj, na litość boską! Tępa krowa...

Bobby Dexter spojrział po raz ostatni, czy Lianne jest bezpieczna, po czym odwrócił się, wyrzucił na ziemię kilka przed-

miotów z tylnego siedzenia i wyskoczył z dziwnie przekrzywionego pojazdu. Był tak pijany, że zrobił fikołka i wylądował ciężko na zimnej, twardej ziemi, objając boleśnie łokcie. Zaklął paskudnie.

Podniósł się, opierając się na roztrzęsionych rękach, zebrał rzeczy i popatrzył, czy Lianne oddaliła się na bezpieczną odległość od cieknącej benzyny. Lianne przyglądała mu się, stojąc na skraju drogi dobre dziesięć metrów od dogorywającego clio, z rękami splecionymi z tyłu jak uczennica, która czeka, żeby ktoś jej powiedział, co ma robić.

Bobby podbiegł do żony.

– Wszystko gra? – spytał. Wyglądało na to, że przejął się rozwojem wypadków. To już coś, pomyślała.

– Tak. – Już nie płakała. Chyba był z tego zadowolony.

Od strony samochodu dobiegi huk podobny do ciężkiego westchnienia. Patrzyli, jak spod maski strzelają wąskie jęzory ognia i rozlewają się po przedniej szybie.

– Ożeż ty... – powiedział Bobby. – To mi się właśnie podoba w autach z wypożyczalni. Coś takiego dzieje się na twoich oczach, a ty możesz stać spokojnie i podziwiać fajerwerki. Teraz żałuję, że nie wziąłem czegoś większego.

Nagły powiew wiatru podsycił płomienie. Wijąc się, ogień wpadł przez okna do wnętrza i pochłonął siedzenia, na których parę minut wcześniej Bobby i Lianne Dexterowie siedzieli skłóceni. Chwilę później renault eksplodował z potężnym hukiem. Płonął wśród fal gorącego powietrza, wydzielając chmury czarnego dymu.

Lianne, wczepiona w ramię męża, wpatrywała się w widowisko. Bobby miał rację: to był problem wypożyczalni. Od tego byli i za to właśnie kasowali tak wielkie sumy.

– Co my teraz zrobimy? – zapytała. Spojrzała na niego i z ulgą zauważyła, że jej mąż uśmiecha się po raz pierwszy od wielu godzin.

Uniósł jedną z rzeczy, które udało mu się zabrać z tylnego siedzenia. Był to wykrywacz metalu wypożyczony tego ranka w jakimś zakładzie niedaleko hotelu.

– To, po cośmy przyjechali – powiedział Bobby Dexter. – Tatusz idzie na polowanko.

Wydobyła z siebie śmiech i pomyślała, że chyba wypadł sztucznie. Nie miało to zresztą znaczenia, bo Bobby i tak już nie zwracał na nią uwagi. Zmierzał w dół, ku brzegowi rzeki, po bagnistym gruncie, który sprawiał wrażenie, że lada moment może się pod nim zapuć. Założył słuchawki.

Nagle zaczął się śmiać. Najwidoczniej musiał coś głośno i wyraźnie usłyszeć. Lianne podeszła do niego. Stali może dwadzieścia kroków od rzeki. W promieniu wielu kilometrów nie było żywej duszy. Cokolwiek tu znajdują, będzie należało do nich.

– Słyszysz? – spytał.

Wzięła od niego słuchawki i przytknęła jedną do ucha. Urządzenie zwariowało, wysłało serie pisków jak stara gra wideo.

– Pieprzony Tom Jorgensen. – Bobby splunął. Lianne nie miała odwagi patrzeć mu w oczy, kiedy mówił takim tonem. – Dam temu tłustemu skurczysynowi nauczkę. Przynies sprzęt.

Siedział przyczajony w kafejce za rogiem niedaleko Questury, gdy weszła Barbara Martelli w swoim nieskazitelnie czystym mundurze, z kaskiem w ręku. Jej długie blond loki falowały przy każdym kroku.

– Nico – powiedziała zaskoczona. – Wróciłeś do pracy?

– Dzisiaj pierwszy dzień – odparł, spoglądając na zegarek.

– Gdy tylko postanowię, że czas się ruszyć.

– Ach...

– Jak się masz, Barbaro?

– Świetnie. Jak zawsze. A ty?

Dopił macchiato.

– Może być.

– Gdybyś przypadkiem zapomniał, to nie jest kawa, jaką piją gliniarze.

– Więc czemu ty tutaj przyszałaś?

Roześmiała się. Barbara Martelli prawie dorównywała Nicowi wzrostem. Miała figurę, która sprawiała, że wszystkie głowy odwracały się za nią, gdy szła przez komisariat. Jej rozwichrzone jasne włosy były tak bujne, że sprawiały wrażenie, jak gdyby nie dawały się zmieścić pod małym, czarnym kaskiem motocyklowym. Nie miała twarzy policjantki. Była zbyt atrakcyjna, jakby nieustannie gotowa, żeby się uśmiechnąć. Wyglądała raczej na kobietę z telewizji – mogłaby zapowiadać pogodę albo prowadzić jakiś show. Zamiast tego kursowała po mieście na swoim wielkim motorze i wypisywała mandaty, a robiła to z takim wdziękiem, że ponoć kiedy tylko kierowcy orientowali się, że Barbara jedzie za nimi, wciskali gaz do dechy.

W dawnych czasach, przed strzelaniną, która odstawiła go na boczny tor, gdzie zmagął się ze swoimi demonami, Nico Costa zastanawiał się nieraz, czy nie podoba się Barbarze. Kilku chłopaków namawiało go, żeby się z nią umówił, no i wszystko potem opowiedział, rzecz jasna. Nigdy do tego nie doszło. Ona była po prostu zbyt doskonała. Każdy egzamin z prowadzenia samochodu albo motocykla zdawała z maksymalną liczbą punktów. Strzelała też świetnie – miała talent, dzięki któremu brano ją do większości zadań związanych z ochroną dyplomatów. Barbara Martelli była po prostu odrobinę zbyt idealna, by można ją było tknąć.

– Czasem człowiek musi ukryć się na jakiś czas, Nico. Czy to właśnie teraz robisz? Skoro tak, to chyba trochę za wcześnie. Jeśli chcesz usłyszeć gong, musisz wrócić na ring.

– Ja tylko piję kawę – wymamrotał.

– Ile to już minęło?

– Sześć miesięcy.

Sześć długich miesięcy powolnego leczenia fizycznych i psychicznych ran po postrzale. Czasem zastanawiał się, czy kiedyś uda mu się w pełni wyzdrowieć, czy w ogóle mu na tym zależy.

Patrzyła na niego szczerym spojrzeniem. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że była chyba najatrakcyjniejszą kobietą w Questurze. Sam się sobie dziwił, że nigdy się z nią nie umówił. Nie chodziło nawet o to, że chciał, by coś między nimi zaszło, ale o to, że Barbara była po prostu dobrą towarzyszką, kimś, kto sprawia, że człowiek czuje się wyjątkowo. Tak naprawdę w ogóle jej nie znał.

– Ty chcesz wrócić, prawda? Nie chodzi tylko o to, że Falcone cię naciska.

– Nie. Faktycznie chcę. Nie umiałbym wymyślić sobie innego zajęcia. A ty byś umiała?

– Nie.

– Wszyscy tacy jesteśmy, prawda? – powiedział. – Nie mamy wyboru.

Słuchał własnego głosu i nie podobało mu się to, co w nim pobrzmiwało. Jakby pretensje, rozczulanie się nad sobą. Miał dwadzieścia osiem lat. Nigdy wcześniej nie mówił w taki sposób. Zmieniła go sprawa Denneya, jak ją teraz nazywano – nierozwiązana gmatwanina komplikacji, za którą jego partner, Luca Rossi, zapłacił życiem, a Costa uniknął śmierci o włos. Ten nowy Nico Costa nie biegał już wokół Campo dei Fiori jak szaleniec za każdym razem, gdy chciał oczyścić umysł. Sprzedał małą mieszkanie przy Vicolo del Bologna i przeprowadził się do starego domu swojego ojca, rozwalającej się chaty opodal Via Appia Antica, w której dorastał. Rany fizyczne Costy już się w większości zagoiły. Te na duszy wciąż od czasu do czasu bolały.

Nicowi brakowało rozsądku Luki i jego przenikliwych opinii, które potrafił wyrażać w kilku słowach. Żałował, że nie nauczył się bardziej go cenić w tym krótkim czasie, który spędzili, pracując razem. Zdawał sobie też sprawę z tego, że wró-

ci do policji, gdy znowu poczuje chłód, cynizm i brutalność świata. Trzeba było włączyć zmysł nazywany przez Falconego – człowieka, który sam wydobył go z wózka inwalidzkiego i przywrócił do służby – pragmatyzmem.

Inspektor Falcone, mężczyzna chłodny i pełen determinacji, postrzegał jego przemianę jako rzecz nieuniknioną. Być może miał rację, jednak Costa wciąż nie był tego pewien. Nigdy nie znosił cyników i defetystów, którzy twierdzili, że czasem lepiej odwalić złą robotę najsolidniej, jak się da, bo inaczej walka będzie przegrana na całej linii. Nie zamierzał dopasowywać swoich zasad do reguł twardej, brutalnej rzeczywistości. Przynajmniej to jedno miał po ojcu, upartym i nieugiętym członku partii komunistycznej, który narobił sobie więcej wrogów przez swoją uczciwość niż inni z powodu machlojek.

Barbara Martelli dopiła kawę z małej filiżanki. Była zamysłona. Wyglądała, jakby martwiło ją coś, o czym trudno się rozmawia.

– Wiem, o co ci chodzi.

– Słucham?

– W kwestii wyboru.

Przez jej twarz przemknął cień wątpliwości, cierpienia. Pojął, że uroda nie zawsze działała na korzyść Barbary. Niekiedy mogła być brzemieniem. Ludzie osądzali ją właśnie po wyglądzie i nie dostrzegali w niej człowieka, jakby jej wewnątrz było czymś dziwnym i odległym.

– Nico, najlepiej przyjąć rzeczy takimi, jakie są, i brać się do roboty. Nie możesz... – zerknęła do jego filiżanki, która od dawna była już pusta, o czym oboje dobrze wiedzieli – ...nie możesz chować się w jakimś kącie. To do ciebie nie pasuje. Wydaje mi się, że znam cię na tyle.

Był już spóźniony. Gdyby nie weszła, wciąż siedziałyby przy stoliku, zżerany wątpliwościami. Zdawał też sobie sprawę z tego, że w pewnym momencie nadeszłaby chwila, w której wyszedłby z kafejki i wrócił do domu, po czym otworzyłby

butelkę dobrego wina i przekreślił wszystko, co udało mu się osiągnąć przez kilka ostatnich miesięcy rekonwalescencji i odbudowywania szacunku do samego siebie. W pewnym sensie taki upadek miał w sobie coś chwalebne. Gdyby tylko dało się przedłużyć to uczucie na zawsze, można by przeżyć w ten sposób całe życie. Kłopot w tym, że ono było nietrwałe. W pewnym momencie człowiek się budzi, a rzeczywistość wsuwa głowę przez drzwi i mówi „dzień dobry”. Nie miał wyjścia, a to z bardzo prostego powodu: to, przed czym uciekał, leżało wewnątrz niego.

– Mam cię tam zaprowadzić czy co? – spytała.

– Myślałem, żeby wziąć chorobowe.

– Nie! – Jej wielkie zielone oczy rozszerzył gniew.

Zdał sobie sprawę, że flirtowali ze sobą, choć nie na poważnie. W ten sposób Barbara naciskała, żeby się ruszył. Zrobiłaby to dla każdego w potrzebie.

– To jest nasz zawód – oznajmiła. – Nasze powołanie. Nie ma stanów pośrednich. Albo jesteś na pokładzie, albo za burtą. Więc jak będzie?

Przez głowę przebiegła mu dzika myśl i wskoczyła nagle do jego ust, tak szybko, że nie zdołał się zastanowić nad konsekwencjami swoich słów.

– Sądzisz, że moglibyśmy się kiedyś umówić, Barbaro? Byłoby to możliwe?

Jej policzki zaróżowiły się lekko. Barbara Martelli dostawała randkowe propozycje dziesięć razy dziennie.

– Spytaj mnie o to jutro – powiedziała. – Pod jednym warunkiem.

Czekał, zawstydzony nieoczekiwaną intymnością między nimi. Długim, zadbanym palcem wskazała budynek Questury.

– Spytasz mnie tam.

We Włoszech wszystko robiono na opak. Do cappuccino dawano za mało mleka. Makaron smakował paskudnie. Pizza

była za cienka. A wódka... Lianne Dexter sama nie wiedziała, co z nią jest nie tak. Normalnie skutki picia dwie godziny po obiedzie powinny już mijać, ale ona czuła się równie pijana jak w chwili, gdy wyszli z osterii, i zaczynała ją to denerwować. Dopili z Bobbym butelkę wody Pellegrino znalezionej w plecaku, który udało się porwać z samochodu, zanim wybuchł pożar. Teraz nie mieli już co pić, co jeść i czym płacić. Nie chciała nawet myśleć o pieszej wędrówce błotnistą ścieżką do głównej drogi. Jak zatrzymuje się na szosie włoskiego kierowcę, żeby cię zabrał do Avisu po zwrot pieniędzy za gówniane wypożyczone auto? No i co zrobić z rzeczami, które znalazł Bobby? Jak dotąd zaliczała się do nich moneta, coś, co wyglądało na bardzo stary wielki gwóźdź, oraz półokrągły przedmiot wielkości dziecięcej dłoni, pokryty zaschniętym błotem, który według zapewnień Bobby'ego po oczyszczeniu miał się okazać wspinałym rzymskim naszyjnikiem. No i świetnie, tyle że oni nie powinni szukać tych rzeczy i Włosi na pewno dobrze o tym wiedzą. Zresztą naszyjnik to pewnie tylko linka hamulcowa. Ojciec Lianne był mechanikiem samochodowym. Znała się trochę na tych sprawach i według niej ta rzecz cholernie przypominała linkę hamulcową.

Oblizła wargi. Czuła straszną suchość w ustach. Alkoholowa migrena pulsowała w jej skroniach. Zbliżała się trzecia po południu i powoli zaczynało zmierzchać. Powinni ruszać. Nie chciała zostać całą noc na tym podejrzanym odludziu, wśród dziwnych zapachów i ryku samolotów z Fiumicina przelatujących nad ich głowami co dwie minuty, jeśli nie częściej.

– Bobby... – jęknęła.

Nie był zadowolony z łupu. Tom Jorgensen miał marmurową głowę, która wyglądała lepiej niż te wszystkie rzeczy.

Zerwał z uszu słuchawki i warknął:

– Czego?

– Niedługo się ściemni. Musimy iść.

Spojrzał w górę na szare niebo i pociągnął nosem.

– Jeszcze pięć minut.

Z powrotem założył słuchawki i podążył w kierunku brzegu. Było tam bagno. Lianne wyczuwała to instynktownie.

Dobiegał stamtąd specyficzny kwaśny zapach, który kojarzył się jej z plantacjami żurawiny w Maine, dokąd wybrali się w czasie jednych z wcześniejszych wakacji.

– To torf – stwierdziła, jakby nagle coś sobie przypomniała.

Bobby spytał głośno, nie zdejmując słuchawek:

– Co znowu, do cholery?

Boeing 747 przetoczył się nad nimi tak nisko, że poczuła, jak trzęsie się ziemia. Musiała przycisnąć dłonie do uszu, żeby nie ogłuszył jej ryk silników.

– Nic – szepnęła sama do siebie, sunąc wzrokiem za boeingiem, żałując, że nie jest gdzieś indziej. Może nawet z powrotem w domu. Na plantacjach żurawiny było fajnie. Ciekawie. Prowadzili je ludzie mówiący tym samym co ona językiem, wśród których ani przez chwilę nie czuła się obco. W Rzymie było inaczej. Miała wrażenie, że wszystkie twarze na ulicy bezustannie się na nią gapią, jakby w oczekiwaniu, że powie coś niestosownego, że skręci w złą uliczkę. Wszystko było tu obce.

Niespodziewanie Bobby gwizdnął. Zdjął słuchawki i wskazał pokryty wątlą trawą kawałek wilgotnej ziemi parę kroków przed sobą.

– Jeszcze tylko jedna próba, kochanie, i zjeżdżamy. Podaj szpadel.

Zrobiła, o co prosił. Bobby Dexter przycisnął szpadel do ziemi i naskoczył na niego obiema nogami. Ostrze weszło w ziemię jak nóż w ciepłe masło. Bobby stoczył się ze szpadła i padł na ziemię.

– To torf – powiedziała znowu, patrząc, jak jej mąż wije się i klnie. – Jest miękki, Bobby. Nie trzeba tak ostro. Popatrz...

Podniosła narzędzie i kucnęła przy miejscu, w którym szpadel wgryzł się w ziemię. Lianne oglądała kiedyś na Discovery program archeologiczny. Widziała, jak się robi takie rzeczy,

choć po co się tak męczyć po sześć, osiem godzin dziennie, tego pojąć nie mogła.

– Trzeba delikatnie – powiedziała i wsunęła koniec ostrza w miękką glebę. Kwaśny opar owiał jej twarz. Przypomniała się jej żurawina, cierpki czerwony sok zmieszany z wódką. – Spójrz...

Odsłoniła kawałek powierzchni, starając się nie wdychać cuchnących wyziewów. Nagle szpadel zatrzymał się na czymś twardym. Lianne Dexter mimowolnie przełknęła ślinę i zaniepokoiła się, czy się nie zakrztusi. Kilka razy wsunęła na próbę szpadel w ziemię. Za każdym razem natykała się na ten sam twardy przedmiot.

Bobby podszedł chwiejnie i odebrał jej narzędzie. Zaczął kopać. Trochę zbyt ostro, uznała.

– Co to jest? – spytała.

Obiekt był coraz lepiej widoczny. Miał kolor torfu: ciemny, brązowy i był twardy. Bobby odsłonił jeszcze trochę gruntu, po czym oboje wzięli głęboki oddech i usiedli. To, co na ich oczach powoli wyłaniało się z ziemi, wyglądało na wyrzeźbione ludzkie ramię, prawdopodobnie kobiece. Pomiędzy grudami ziemi widać było prostą szatę, oddaną z mistrzowską dokładnością.

– Wygląda jak prawdziwa – powiedziała wreszcie Lianne.

– Halo! – zawołał Bobby sarkastycznie. – Ziemia do Lianne! To jest posąg! On właśnie ma wyglądać prawdziwie.

– Posągi są innego koloru.

– Lianne... – Znowu ogarniało go rozdrażnienie. W oczach pojawiały się gniewne błyski. – Leżał w tej gnojówce parę tysięcy lat. Niby jaki ma mieć kolor? Śnieżnobiały? Według ciebie zafolowali go, nim się tu znalazł?

Nie odpowiedziała. Bobby miał rację.

Zeskrobał jeszcze trochę ziemi. Na końcu ramienia pojawiła się dłoń. Jej smukłe palce były mocno zaciśnięte na grubym drzewcu. Oboje cofnęli się na chwilę i zaczęli przyglądać przedmiotowi w błocie. Dla Lianne figura wyglądała kobieco

i dziwnie znajomo. Wreszcie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce i zrozumiała, z czym posąg jej się kojarzy. Ta dziwna, martwa rzecz w ziemi przypominała miniaturową wersję Statui Wolności, która usiłuje ustać prosto w bagnie i utrzymać w górze wielką kamienną pochodnię.

– To nie metal, Bobby! – powiedziała. Zmartwiła się, słysząc w swoim głosie gniew. – Nie zastanowiło cię, że twój sprzęt to wykrył?

Popatrzył na nią spod oka.

– Czasem naprawdę mnie zadziwiasz. Ja tu być może odkrywam pieprzony grobowiec Tutanchamona, a jedyne, co słyszę od ciebie, to joczenie i narzekanie. Możesz na chwilę dać mi święty spokój? Próbuję myśleć.

Odsłonił ziemię po przeciwnej stronie, gdzie mogło znajdować się drugie ramię. Faktycznie tam było, kilkanaście centymetrów pod powierzchnią torfowiska. Być może niedawny deszcz zmył trochę pokrywającego je błota. Bobby przesunął delikatnie szpadlem w przestrzeni między ramionami. Pojawiła się pierś figury. Posąg miał na sobie szatę, która wyglądała jak klasyczna tunika z rozcięciem w dekolcie sięgającym na tyle głęboko, by dało się zauważyć łagodną krzywiznę niedużych, bardzo realistycznych piersi. Powierzchnia figury, gdy Bobby ściągnął z niej tyle ziemi, ile się dało, okazała się dość szczególna. Miała kolor starej skóry i lekko lśniła. Przez krótką chwilę, gdy Bobby wsuwał i wyciągał szpadel, Lianne zdawało się, że materiał posągu poddaje się naciskowi, ale uznała, że to złudzenie wywołane wpływem wódki.

Bobby uklęknął i ściągnął mniej więcej dziesięć centymetrów ziemi kawałek poniżej miejsca, które już odsłonił. Dobrze trafił. Pojawił się zarys kostek, jedna w pewnej odległości od drugiej, doskonałych, nagich, nieosłoniętych wyrzeźbionymi fałdami szaty.

– To jest posąg naturalnej wielkości, Bobby – powiedziała Lianne.

– Wiem!

– No to co z nim zrobisz?

– Chryste, gdybym tylko mógł w tej chwili zobaczyć głębie tego tłustego skurwiela Jorgensena. Masz aparat?

Pokręciła głową.

– Zapomniałam.

– Typowe. Wielkie dzięki.

– Bobby!

Popatrzył na żonę. Lianne powoli zaczynała się irytować. Już jej nie zależało. Działo się coś niedobrego. Być może nadzedł czas, by zająć jakieś stanowisko.

– Co z nią zrobię? – spytał Bobby. – Co tylko mi się zamarzy, Lianne. Co tylko mi się, kurwa, zamarzy.

– On jest za duży. Nie będzie można go przewieźć w luku bagażowym. Ma kolor gówna. I w dodatku cuchnie. Nie czujesz?

– To siedziało w bagnie przez pieprzony milion lat. Ma niby wyłonić się z ziemi wśród zapachu fiołków?

Odsunęła się od znaleziska i gniewnym gestem skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie chcę tego brać, to śmierdzi. I przestań na mnie krzyczeć. To wcale nie jest miłe.

Burknął pod nosem i podszedł do górnej części posągu, gdzie powinna znajdować się głowa. Tym razem ziemię odsłonił ostrożnie. Lianne miała nadzieję, że głowy nie będzie, a Bobby znajdzie tylko tułów i parę wystających nóg. Ciekawe, czy Tom Jorgensen poczułby ironię tej sytuacji.

Lecz głowa była. Bardzo piękna, gdyby zmyć z niej brud. Gdy Bobby Dexter, oczyszczając rzeźbę, gwizdnął z podziwu, jego żona łączyła w myśli kawałki układanki i powoli zaczęło do niej docierać, co znaleźli. To był naturalnej wielkości rzymski posąg, mający być może kilka tysięcy lat. Był co prawda straszliwie brudny po tak długim leżeniu w torfie, lecz poza tym – idealny. Zrozumiała, o czym myślał Bobby: kto wie,

jakie cuda można w dzisiejszych czasach wyczyniać w laboratorium. Może da się przywrócić marmurowi nieskazitelną biel, żeby był taki jak wtedy, gdy oglądał go Juliusz Cezar albo inny dawno zmarły Rzymianin.

Więc mieli problem. Posąg był zbyt wielki. Nawet we dwoje nie daliby rady wyciągnąć go z ziemi. Kamień był wysoki na metr sześćdziesiąt albo więcej i ważył pewnie dobrą tonę. Gdyby nawet ściągnęli kogoś do pomocy, nie było możliwości, żeby go przewieźć do Stanów.

– Zostawmy go, Bobby – powiedziała Lianne. – Zadzwońmy do jakiegoś urzędu i powiemy, co znaleźliśmy. Może dostaniemy nagrodę i napiszą o nas w gazecie. Podetkniesz ją przed nos Jorgensenowi i zobaczysz, co on na to.

– Pieprzyć nagrody – odwarknęła. – Tu są Włochy, Lianne. Zabiorą posąg, a nas zamkną za to, żeśmy tu kopali.

– No to co chcesz zrobić?

Przeciwstawiała mu się otwarcie i oboje o tym wiedzieli. To był punkt zwrotny w ich małżeństwie. Po nim jej życie mogło potoczyć się dwojako: ku wolności albo podporządkowaniu.

Bobby wstał, poszedł po szpadel, podniósł go, zważył w rękach, po czym zaczął wpatrywać się rozgorączkowanym wzrokiem w niezwykle brązowy kształt, na wpół zakopany w torfie.

Lianne popatrzyła na niego i w jej żołądku zaczął się zawiązywać zimny supeł strachu.

– Bobby? – spytała błagalnym tonem. – Bobby?!

Nico Costa prowadził nieoznakowanego policyjnego fiata na wschód, główną ulicą biegnącą wzdłuż brzegu rzeki od strony miasta. Gianni Peroni, partner, którego przydzielono mu tego ranka, siedział na fotelu pasażera i napychał się panino z kawałkami pieczonej wieprzowiny wystającymi po bokach. Był to wielki, umięśniony, dobiegający pięćdziesiątki facet, z twarzą, której nie dało się zapomnieć. W pewnym momencie służby – Costa wiedział, że długo nie wytrzyma i spyta

go o to – Peroni musiał chyba zderzyć się ze ścianą. Nos miał złamany paskudniej niż jakikolwiek gracz rugby, którego Nico widział w życiu. Jego czoło zwieszało się nisko nad parą jasných, bystrych świńskich oczek. Szpetna blizna biegła ukośnie przez prawy policzek. Jakby specjalnie, żeby dopełnić obrazu, Peroni strzygł się na krótkiego jeża jak *marines*. Pod krawatem, w schludnym ciemnym garniturze i białej wykrochmalonej koszuli wyglądał jak bandyta wystrojony na wesele. Posterunkowa wieść niosła, że Peroni ani razu w czasie swojej kariery zawodowej nie podniósł pięści na żadnego typka. Po prostu nie musiał tego robić. Gość spoglądał na niego, przełykał ślinę i się uspokajał. Między innymi z tego powodu Peroni był znany wszem wobec jako jeden z najpopularniejszych i najbardziej szanowanych inspektorów w policji. To ostatni człowiek, o którym Costa by pomyślał jako o tym, z którym będzie dzielił ten sam samochód jak równy z równym.

– Nie rozumiem, jak oni mają czelność nazywać to coś porchetta? – marudził Peroni. – Tam, skąd pochodzę, wiesz, takie zapyziałe miasteczko koło Sieny, sami rolnicy i żadnych atrakcji turystycznych, tam to dopiero jest porchetta. Przyrzadzają ją regularnie co niedziela. Mój wujek Fredo był rolnikiem. Pokazał mi, jak to się robi. Zabijasz świnię, patroszysz ją, potem wyciągasz wątrobę i macerujesz w grappie i innych takich. A potem czuwasz całą noc i ją pieczesz. Fredo mawiał, że to jedyna taka noc w tygodniu, kiedy śpi przy świni, co nie chrapie. – Peroni przypatrywał się Coście i czekał na reakcję. – No dobra, może musiałbyś spotkać tego babsztyla, żeby zrozumieć. Tak czy inaczej, to dopiero była porchetta. Gorąca, świeżutka, ze spieczoną skórką. A ten szajs tkwił w lodówce przez wieki. Chcesz trochę?

Costa zerknął na blade, suche mięso.

– Dzięki, nie mogę, prowadzę. A zresztą nie jem mięsa.

Peroni wzruszył ramionami, opuścił szybę i wyrzucił tłusty papier w ciepłe powietrze rzymskiego poranka.

– No tak, zapomniałem. Twoja strata.

Costa odwrócił na chwilę wzrok od tłocznej ulicy nad rzeką i popatrzył na Peroniego.

– Zanieczyszczasz środowisko. Nie rób tego, gdy jedziesz moim autem.

– Chciałeś powiedzieć: zanieczyszczasz środowisko, sir.

– Nie – zaprzeczył Costa. – Chciałem powiedzieć to, co powiedziałem. Jesteś teraz normalnym gliną. Słyszałeś Falconego.

Dziwnie sztywna twarz Peroniego nagle się ożywiła.

– Równy stopień, równy stopień. Jak Leo mógł mi to zrobić? Chryste, i pomyśleć o tych wszystkich rzeczach, które jemu uszły na sucho... A przecież Leo i ja niby jesteśmy przyjaciółmi, do diabła. Oto ile dziś znaczy przyjaźń na tym świecie.

Costa podjął decyzję w chwili, gdy tylko się dowiedział, że jego nowym partnerem będzie Peroni. Nie zamierzał dać sobie w kaszę dmuchać. Żadnej podległości. Może dlatego właśnie Falcone tak to ustawił. To była lekcja, a może też swojego rodzaju kara. Dla nich obu.

Ludzie w Questurze świetnie wiedzieli, jakie przestępstwo popełnił Gianni Peroni: opowiadano sobie o nim przy różnych okazjach w taki sposób, jakby to była fabuła horroru. Ta historia w dodatku miała morał: nawet najbystrzejszy i najlepszy twardziel może wypaść z gry, i to z powodu drobnej pokusy. Peroni długie lata piął się w górę w szeregach obyczajówki i nigdy nie padł na niego nawet cień podejrzenia o korupcję. Jako inspektor rozpracował trzy największe grupy zajmujące się prostytutką w mieście i zaczął prowadzić infiltrację szajki albańskich cwaniaczków zajmujących się handlem kobietami, którzy próbowali rozwijać swoją działalność niedaleko Rzymu. Nigdy nie zboczył z prostej drogi i nie poszedł na żadne propozycje przyjaźni ani układów. Nie ukrywał, że w głębi serca pozostał chłopaczkiem z farmy, członkiem klasy pracującej, który nie czuje się komfortowo w towarzystwie policyjnej

wierchuszki. Mimo to widać było, że czekają go wielkie sukcesy. Może już by je nawet osiągnął, gdyby nie jego specyficzny, odstraszaający wygląd. I nagle w jedną noc kilka tygodni temu wszystko zmarnował, a wieść szybko dotarła do uszu uszczęśliwionych dziennikarzy.

To miała być precyzyjna operacja zorganizowana przez Direzione Investigativa Antimafia, cywilną agencję pozostającą poza kontrolą policji, utworzoną specjalnie do zwalczania działalności mafijnej. DIA urządziła fałszywy burdel w Testaccio, w którym pracowały prawdziwe prostytutki przywiezione z Bolonii. W ciągu trzech tygodni ich przybytek dorobił się dość klienteli, by zwrócić uwagę grubych ryb w świecie alfonsov, którzy wkrótce, o czym wiedzieli ludzie z DIA, mieli pojawić się z propozycją: albo udział w zyskach, albo potoczy się głowa tego, kto z interesu spija śmietankę. I faktycznie, trzech byczków pojawiło się w czwartkową noc. Agenci DIA zwinęli ich, po czym, tak z czystej ciekawości, zatrzymali klientów burdelu i przejrzeni ich portfele, zanim w prezencie oddali je policji. Gianni Peroni miał tego pecha, że w chwili, gdy agenci wpadli do burdelu, był w pokoju z pewną blondynką z Czech. Nie udało mu się z tego wywinąć, chociaż próbował wyjaśnić sprawę na wszystkie sposoby. Wieść doszła do Questury. Peroni najpierw został zawieszony, a potem strącony na sam dół, do roli zwykłego detektywa w normalnych ciuchach. I tak mógł mówić, że mu się poszczęściło. Gdyby chodziło o kogoś innego, cała kariera prysnęłaby jak bańka mydlana.

Jeśli wierzyć plotkom powtarzanym w Questurze, degradacja i obniżenie poborów były ostatnią rzeczą, którą Peroni się przejmował. Nie podziwiano go tylko za to, że był świetnym gliną. Miał też opinię człowieka przywiązanego do rodziny. Wszyscy znali jego żonę i dwoje nastoletnich dzieci, syna i córkę. Ludzie z zespołu regularnie jadali obiady w jego domu. Gdy popadali w kłopoty, Peroni zastępował im ojca – udzielał porad i pomagał utrzymać się na prostej.

To wszystko rozpadło się pewnego mroźnego styczniowego wieczoru. Peroniego nie postawiono w stan oskarżenia – nie popełnił żadnego przestępstwa. On po prostu wszystko stracił. Żona wróciła do Sieny z dziećmi i zażądała natychmiastowego rozwodu, rozgłaszając wszem wobec, że mąż ją zdradził. W kilka tygodni z wysokiego rangą policjanta z kochającą rodziną zmienił się w samotnego, starzejącego się człowieka o niepewnej przyszłości zawodowej. A teraz Leo Falcone wsadził go do wozu razem z Nikiem Costą, którego pozycja w policji zdawała się równie chwiejna jak jego własna, a ścieżka kariery mglista. Costa nie miał pojęcia, jak sobie radzić z tą sytuacją, ale wiedział, że Gianni Peroni także nie ma na to pomysłu.

Tuż za oknem, przy Piazza della Bocca della Verità, stały dwie małe rzymskie świątynie – para perfekcyjnych okrągłych kształtów z innego, arkadyjskiego świata. Dzień był przyjemny, a w powietrzu wyczuwało się ciepło, znak zbliżającej się wiosny. Nico Costa żałował, że nie może usiąść przy świątynce i przemyśleć paru spraw.

Peroni odwrócił się ku niemu i zaczął mu się przyglądać.

– Co byś powiedział na krótką rozmowę dla oczyszczenia atmosfery?

Costa spojrział w tę skupioną, sponiewieraną twarz i zadał sobie pytanie, ile czasu będzie musiało upłynąć, zanim przyzwyczai się dzielić przestrzeń samochodu z człowiekiem, który wygląda jak czarny charakter z kreskówki.

– Będę szczery. Ty jeszcze niedawno miałeś problemy z głową. Potem było picie. Mnie przyłapali z opuszczonymi gaciami z czeską dziwką i dlatego muszę bawić się teraz w pielęgniarza. Widzę to tak: jeśli uda mi się utrzymać cię na równym kursie przez miesiąc czy coś koło tego, i kto wie, może przy okazji przyskrzynimy paru bandytów, Leo skreśli mnie ze swojej czarnej listy. Będę mógł znowu zacząć myśleć o tym, co robię najlepiej, a jest to dowodzenie ekipą, i nie będę musiał

tkwić w jakimś śmierdzącym wozie patrolowym jako niańka gołowąsa, którego trzeba trzymać z dala od faszki. To dla mnie ważne, chłopie. Zrobię wszystko, żeby Leo był uśmiechnięty. Ale ty będziesz musiał mi w tym pomóc. Im szybciej się dogadamy, tym szybciej będziesz miał mnie z głowy i przysłać ci kogoś normalnego. Jasne?

Costa przytaknął.

– Powiem ci jeszcze jedno. Nie znoszę picia. W swoim czasie za często oglądałem, jak dobrzy ludzie zmieniają się w zapijaczone ścierwa. Jak mi to zrobisz, będę się bardzo gniewał. Nie spodobałoby ci się to. Nikomu się nie podoba.

– Spróbuję nie zapomnieć. Dostanę coś w zamian? Na przykład obietnicę, że będziesz się trzymać z dala od dziwek?

Peroni spojrział na niego gniewnie i Costę mimowolnie przeszedł dreszcz.

– Nie przeginaj pały. Wiem, że Falconemu na tobie zależy. Bóg wie, czemu ten głupi skurczykot czuje się winny, że cię postrzelili. Z tego, co słyszałem, wynika, że sam się wpakowałeś w ten bajzel.

Costa nie dał się sprowokować.

– Pytałem poważnie. Jestem ciekaw. Każdemu się zdawało, że cię zna: oto porządny facet z klasy pracującej, doskonała rodzina, idealne życie. A teraz ludzie myślą, że od samego początku się mylili, i zadają sobie pytanie: czy to ja wszystko przeinaczyłem, czy problem tkwił w nim? Kto nawalił?

– Ja – od razu odparł Peroni. – Powiem ci jedno: każdy ma w sobie małego czarnego potworka. Każdy zastanawia się, jak by to było wyjąć go pewnego dnia i zabrać na spacer. Nawet ty. Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

– Myślałem, że ten potworek to właśnie to, czego człowiek nie chce.

– Chodzi mi o picie. Ludzie, którzy piją, robią to w jednym celu: żeby coś zabić. Może byłoby lepiej, gdyby zamiast tego od czasu do czasu dali sobą zawładnąć ciemnej stronie.

Faktycznie jest to jakiś pomysł, pomyślał Costa, choć nie taki, jakiego by się spodziewał po gliniarzu, a już na pewno nie po kimś w rodzaju Peroniego.

– Powiedz mi coś, chłopcze. Widziałem rano, jak wchodziłeś do budynku z Barbarą Martelli. Cudna panna, nie? Wyobraż sobie, że podchodzi do ciebie pewnego dnia, kiedy jesteś już żonaty i szczęśliwy i myślisz, jak się wszystko świetnie przed tobą układa, a w dodatku czujesz się już trochę stary. A ona mówi: Nico, tak bym chciała zobaczyć, jak by to było. Tylko jeden raz. Nikomu nie stanie się krzywda. Nikt się nie dowie.

– Nie jestem żonaty.

– Wiem, ale spróbuj sobie wyobrazić. – Peroni czekał na odpowiedź, aż zdał sobie sprawę, że jej nie otrzyma. – Powinieneś się z nią umówić. Coś błyszczący w jej oczach, jak na ciebie patrzy. Ja dostrzegam takie rzeczy.

Costa się zaśmiał.

– Poważnie?

– Tak. I pozwól, że powiem ci coś jeszcze. Znałem jej starego. Też służył w obyczajówce, jeszcze kilka lat temu. To jeden z najpodlejszych, najnędzniejszych skurwieli, jakich w życiu widziałem. Jak mu się udało takie potomstwo, tego w życiu nie odgadnę. No więc masz powód, żeby się z nią nie umawiać. Musiałbyś się spotykać z tym skurczysynem.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Wyglądasz mi na człowieka, który lubi wynajdywać usprawiedliwienia, żeby czegoś nie robić. Mnie to zresztą nie przeszkadza, skoro niedługo się z tego wozu wyniosę. Rozumiemy się?

Costa się nie zdenerwował. W pewnym sensie poczuł nawet ulgę. Dowiedział się w końcu, na czym stoi.

– A więc załatwione? – spytał. – Jeśli tak, możemy już wrócić do swoich ról. Stary i młody glina oczyszczają ulice Rzymu.

Ale wielkolud w fotelu pasażera już go nie słuchał, tylko gestem kazał mu się zamknąć. Z radia wywołano ich nu-

mer. Peroni podniósł mikrofon i zameldował się. Wysłuchali wezwania, po czym Nico Costa odpałił silnik, ruszył wprost ku piramidzie Cestiusza i autostradzie biegnącej w stronę wybrzeża i lotniska. Od czasu do czasu włączał niebieskiego koguta i syrenę, by utorować sobie drogę między samochodami.

– Co za dzień – mruknął Peroni. – Najpierw zabawa w nianię, teraz w strażaka. Trudno powiedzieć, co gorsze.

Lianne umiała rozpoznać determinację w twarzy Bobby'ego i wiedziała, że to oznacza nadciągające kłopoty.

– Powiem ci, co zrobimy – oznajmił jej mąż. – Otóż zabierzemy głowę i pokażemy ją Jorgensenowi. Niech sobie popatrzy. Jest tysiąc razy lepsza niż to jego greckie badziewie.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Co takiego?!

Bobby uniósł szpadel jak siekiere, dysząc z niecierpliwości.

– Patrz. Patrz i ucz się.

Zadał mocny cios w miejsce, gdzie powinna znajdować się głowa statui. Nic się nie stało. Rozprysnęło się trochę ziemi. Lecz Lianne zaczęła krzyczeć, i to głośniejsze niż kiedykolwiek.

– Bobby! – wrzasnęła. – Co ty do cholery wyprawiasz?! Ta rzeźba to dzieło sztuki i w ogóle. To historia. Rozwalisz ją w drobny mak, żeby udowodnić, że masz większe jaja niż Tom Jorgensen?

Znów trzymał szpadel wysoko, kołysząc nim lekko.

– Skąd wiesz, jakie jaja ma Jorgensen?

– To przenośnia, kretynie.

Bobby Dexter spojrzał na nią i zamrugnął. Wyglądał bez nadziejnien. Ściemniało się coraz bardziej i wokoło robiło się dziwnie. Zadał kolejny cios i znów chybił szyi posągu, posyłając w powietrze strugę cuchnącej ziemi, która trafiła go prosto w twarz. Trochę piachu wpadło mu do ust. Wypluł go, jakby miał do czynienia z trucizną.

– Jeśli zniszczysz ten posąg, Bobby, to koniec z nami – powiedziała śmiertelnie poważnym tonem. – Właśnie tak. Nie pobiegnę do ojca. Pójdę do prawnika, gdy tylko dotrzemy do Seattle.

Zawahał się i spojrzał na nią, jakby zastanawiał się, czy Lianne faktycznie zamierza spełnić groźbę.

– Powiedz mi to znowu, gdy już będziemy w domu z najlepszą salonową rzeźbą, jaka jest w prywatnym posiadaniu w całym pieprzonym stanie Waszyngton. Nawet nie wiesz, jak taka ozdóbka w salonie potrafi rozruszać imprezę.

– Bobby! – krzyknęła.

– Dość chrzanienia. – Znów się zamachnęła.

I tym razem trafił. Ostra krawędź szpadła weszła głęboko w szyję. Powinien dać się słyszeć przenikliwy dźwięk rozłupywanego kamienia, co by znaczyło, że pęknięcie jest gładkie i czyste, a może trochę nierówne, dzięki czemu wygląda autentycznie. Znała Bobby'ego na tyle, że wiedziała, co myśli. Już pewnie zaczął sobie wyobrażać różne imprezowe sceny.

Lecz wszystkie wizje, jakie mieli, natychmiast wyparowały im z głowy, gdy szpadel uderzył w posąg. Lianne Dexter zrozumiała, że się pomylili, oboje okropnie się pomylili. Widzieli to, co chcieli zobaczyć, a nie to, co istniało naprawdę. Być może mieli po temu nieświadomiony powód. Bo przecież taka prawda była ostatnią rzeczą, której potrzebowali do szczęścia, a już na pewno w chwili, gdy zdani na łaskę losu tkwili w jakimś grajdołku na brzegu śmierdzącej rzeki, w kraju, gdzie ich umiejętności językowe były ograniczone do zamawiania pizzy, piwa i wina.

Szpadel nie uderzył w twardey kamień. Wszedł w tkankę, w jakiś rodzaj ciała. Wyglądało jak skóra, było ciemne i wytrzymałe, ale elastyczne. Ostrze trafiło dokładnie w miejsce, w którym szyja przechodzi w tułów, i rozcięło coś, co przypominało prawdziwe ludzkie ścięgna. Prysnęło na nich ohydnie cuchnące mokre błoto, w którego zapachu wyraźnie poczuli organiczną nutę kojarzącą się z czymś żywym.

Twarz Lianne pokryły grudki torfu, które obsypały ich, gdy Bobby uderzył szpadłem. Zaczęła je wypluwać, łkając i walcząc z wymiotami. Gdy doszła do siebie, zobaczyła, że Bobby z poważnym wyrazem twarzy nachyla się nad tą rzeczą w bagnie.

W ziemi przed nimi, częściowo oddzielona od ciała uderzeniem szpadła, spoczywała głowa młodej, najwyżej szesnasto- czy siedemnastoletniej dziewczyny odzianej w antyczną szatę, z grubą rytualną różdżką w lewej dłoni. Siła uderzenia spowodowała, że z jej twarzy odpadła większa część twardej błotnej skorupy. Dziewczyna była piękna. Miała wydatne czoło i mocno zarysowane kości policzkowe. Nieskazitelnej skóry nie szpeciła ani jedna zmarszczka. Jej oczy były zamknięte, a usta na wpół rozchylone, jakby wydawała właśnie ostatnie, przedśmiertne westchnienie. Miała doskonałe zęby, pozbawione szpar i nierówności, które świeciły bielą o perłowym odcieniu wśród brudnobrązowej ziemi. Jej długie włosy były splecione z tyłu głowy i zlepione w grube strąki. Na twarzy widniał wyraz najwyższego spokoju. Lianne pomyślała, że dziewczyna umierała szczęśliwa, choć w tych okolicznościach było to przecież absurdalne.

Gdyby mieli jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, co przed nimi leży, wystarczyło spojrzeć na szyję. Mocnym uderzeniem szpadła Bobby osiągnął swój cel: wciął się głęboko. Teraz wraz z żoną wpatrywał się we wnętrze ludzkiego gardła, czarną, poszarpaną płataninę tkanek z widocznymi kośćmi, ścięgnami i kanałami żył. Wszystko to wydawało się jakby znajome, wyuczone na niemal zapomnianych lekcjach biologii.

– Niech to diabli – mruknął Bobby i zaczął się trząść.

Boeing 747 przewalił się nisko nad nimi. Poczuli ciepło jego oddechu, a w ich nozdrza uderzył chemiczny wyziew monstualnych silników. Gdy gigant oddalił się z rykiem, do Bobby'ego Dextera dobiegł innego rodzaju dźwięk. Wrzask żony.

– Nie – powiedział błagalnym tonem. – Nie teraz, Lianne. Próbuje myśleć, na Boga.

Chwilę potem on też się poddał. Dwóch mężczyzn, jeden niski, drugi wysoki, szło w ich stronę, wpatrując się w całą scenę z uwagą. Kawałek za nimi czerwony wóz strażacki sunął mozolnie dróżką w kierunku poczerwiałych, kopających szczątków clio.

Faceci wyjęli policyjne odznaki. Nie sprawiali sympatycznego wrażenia.

Starszy gliniarz wyglądał jak szympan. Miał byczy kark, groźną, zdeformowaną twarz i agresywne, przesywające spojrzenie, które sugerowało, że nic się przed nim nie ukryje. Młodszy, niższy, przyglądał się leżącemu w torfie ciału o ohydny kolorze, którego głowa, wskutek cięcia Bobby'ego, odchyliła się w tył.

– Ten dzień staje się coraz dziwniejszy – mruknął Gianni Peroni. – Uszczypnij mnie. Powiedz, że to sen.

– To nie sen – odparł Nico Costa.

Nie mógł oderwać wzroku od zwłok na wpół zagrzebanych w błocie. Nie zwracał uwagi na szlochającą kobietę, która chyba przed chwilą zwymiotowała, a teraz siedziała skulona nad brzegiem rzeki, ani na mężczyznę trzymającego niepewnie szpadel w dłoniach i kołyszącego się miarowo.

Człowiek ten nagle wycelował narzędzie w policjantów i powiedział bełkotliwym, pełnym napięcia głosem:

– Nie próbujcie ze mną żadnych numerów, jasne? Nawet o tym nie myślcie. Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych.

Zabawa, która przemieniła się w krwawą ceremonię.

Para amerykańskich turystów na własną rękę organizuje wykopaliska. Ale zamiast starożytnego posągu wydobywa z torfowiska zwłoki szesnastoletniej dziewczyny. Wszystko wskazuje na to, że zamordowano ją w legendarnej Willi Misteriów podczas tajemniczego obrzędu, którego od wieków nikt już nie praktykuje. Kiedy łudząco do niej podobna turystka znika bez śladu, policja zaczyna podejrzewać, że krwawy kult wciąż ma grono wyznawców.

Dochodzenie prowadzą dwaj detektywi: Nico Costa, wegetarianin i biegacz, oraz Gianni Peroni, pięćdziesięciolatek ze sporą nadwagą, którego twarzy nie da się zapomnieć.

Krąg osób zamieszanych w sprawę zaczyna się niepokojąco rozszerzać. Pojawia się też osobliwa mafia: starzejący się boss, syn zainteresowany wyłącznie zabawą i młoda żona mafiosa, śpiąca i z mężem, i z pasierbem...

Drugi – po *Porze na śmierć* – tom serii kryminałów z detektywem Costą.



cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

POCISK
MAGAZYN LITERACJI KRYMINALNY



www.portalukryminalny.pl

